Andrzej Horubała: Tyrmand Autokreator

Trudno nie uznać „Dziennika 1954” za dzieło wybitne. Oświetlał „Hańbę domową” Trznadla, wchodził wespół z „Życiem towarzyskim i uczuciowym” w ostry spór z salonem i ex-stalinowcami, którzy nadawali ton kulturze peerelu. Głos Tyrmanda wybijający się ponad mętne żale z „Miazgi” i „Małej Apokalipsy” wpuszczał świeże powietrze do rozważań o politycznych zaangażowaniach i przymusach naszych twórców, przynosił nadzieję, bawił i mamił wizją życia wolnego człowieka w opresyjnym systemie – pisze Andrzej Horubała o twórczości Leopolda Tyrmanda. Teksty Andrzeja Horubały publikowane w nowej serii „Wielcy pisarze PRL-u”, są elementem projektu realizowanego dzięki stypendium Fundacji Trzy Trąby oraz Jolanty i Mirosława Gruszków, pomysłodawców stypendium i darczyńców Fundacji Świętego Mikołaja.

W zasadzie mógłbym napisać: my – oszukani przez pisarzy. Oba dzienniki, na których moje pokolenie budowało swą dorosłość, okazały się falsyfikatami.

„Szkice piórkiem” Andrzeja Bobkowskiego w dużej mierze napisane w latach pięćdziesiątych, a raczej nadpisane wówczas na autentycznych zapiskach z czasów wojny.

No i „Dziennik 1954”, poprawiany i podkręcany przez Tyrmanda w latach siedemdziesiątych.

Dwa najlepsze dzieła tak różnych pisarzy oparte na kłamstwie. Kłamstwie o różnej skali, ale jednak odbierającym przyjemność obcowania z autentykiem.

„Rękopisy nie płoną” – mówi Woland w „Mistrzu i Małgorzacie” i to stanowi dla literatury wielką nadzieję, ale i wielki kłopot. Bruliony z wyjściowymi wersjami dzienników odnalezione po latach popularności ich kultowych wersji, mogą przyprawić fanów o wybuch złości lub łzy rozczarowania.

„Dziennik 1954” Tyrmanda, nie do końca sensownie poprawiany, staje się więc świadectwem kłopotliwym. Stawia też problem: którą z wersji uznać za właściwą. Tę oryginalną, wydobytą z Archiwum Hoovera i udostępnioną przez Henryka Daskę w roku 1995 czy tę opublikowaną w Londynie przez Tyrmanda w roku 1980.

APOKRYF?

Bolą głupstwa, jakie wypisuje na temat „Dziennika 1954” Marcel Woźniak w dotowanej przez Ministerstwo Kultury niezdarnej monografii Tyrmanda opublikowanej przez Instytut Literatury w ramach Bibliotek Krytyki Literackiej Kwartalnika „Nowy Napis”.

Głupstwa sankcjonowane w dodatku przez wielki zespół redaktorów naukowych. Mamy więc wymienioną na stronie redakcyjnej trzyosobową redakcję naukową, redaktora naukowego książki oraz dwóch recenzentów naukowych, i mamy kuriozalne zdania Marcela Woźniaka o Romanie Zimandzie i jego świadectwie lektury „Dziennika 1954”.

Czytamy więc w książce Marcela Woźniaka: „Jeden z badaczy, Roman Zimand wysnuł wniosek, że utwór jest tak zwanym apokryfem – tekstem niepewnego pochodzenia, o niepewnej autentyczności, który mógł powstać w innym czasie”.

I dalej: „Zimand w swoich oskarżeniach poszedł dalej i twierdził między innymi, że Tyrmand kłamał na temat pochodzenia swojej rodziny i krewnych”. (MW, s. 58 – 59).

Ależ było wręcz przeciwnie! Zimand był jednym z największych propagatorów „Dziennika 1954”, zwolennikiem tezy o jego autentyczności, a jego wielokrotnie przedrukowywany znakomity esej stał się dla wielu pierwszym przewodnikiem po twórczości Tyrmanda. Każdy, kto pamięta rewelacyjny referat Zimanda wygłoszony na iblowskiej sesji „Literatura źle obecna”, zaczynający się od mocnego zastrzeżenia (do dziś brzmi w moich uszach): „W 1954 roku, kiedy powstał tekst ‘Dziennika’, Leopold Tyrmand był tam gdzie trzeba, a piszący te słowa tam gdzie nie trzeba” (RZ, s. 27), musi odczuć boleśnie te fałszywe zdania rzucone przez Marcela Woźniaka i zaaprobowane przez szacowne gremium ekspertów.

Po pierwsze więc, Zimand, jeden z najwnikliwszych literaturoznawców końca peerelu, w swym referacie-eseju, podjął wysiłek udowodnienia autentyczności zapisków Tyrmanda. Twierdził, że choć w tekście wykryć można ślady późniejszych zmian, w postaci choćby amerykanizmów, to nie ma on wątpliwości, że „Dziennik” pisany był na bieżąco w od stycznia do kwietnia 1954 roku. Wyrażał oczywiście zastrzeżenie, że stopnia ingerencji autorskiej w tekst oryginalnych zapisków bez porównania z rękopisem ustalić nie sposób, lecz podsumowywał: „Broniąc ‘Dziennika 1954’ przed zarzutem falsyfikatu, powiedziałem, że podrobienie takiego dokumentu byłoby trudne a właściwie niemożliwe” (RZ, s. 49).

Po wtóre, Marcel Woźniak przeinaczył dociekania Zimanda odnośnie do genealogii autora. Otóż Zimand, sam przecież Polak o żydowskich korzeniach i trudnej żydowskiej biografii (pisał o tym niedawno we wspomnieniu Michał Głowiński na kartach bulwersujących wielu „Tęgich głów”), wcale nie oskarżał Tyrmanda, lecz wyjawiał znamienne bolesne przemilczenie.

Bowiem Tyrmand, zarówno w autobiograficznej powieści „Filip”, jak i w „Dzienniku 1954”, mimo pozorów absolutnej szczerości, wręcz ekshibicjonizmu, zataja swoje żydowskie pochodzenie.

W mocno autobiograficznej powieści z czasów okupacji owo przemilczenie powoduje, że wiele decyzji i perypetii Filipa dobrowolnie zgłaszającego się na roboty do Rzeszy jest niezrozumiałych. W „Dzienniku 1954” owo pominięcie tożsamości żydowskiej, semickiego wyglądu, społecznego postrzegania Tyrmanda przez pryzmat jego etnicznego pochodzenia stanowi element znaczący i o tym pisze Zimand, dając świadectwo wnikliwej lektury i otwierając ciekawą perspektywę badawczą.

(Ciekawe, że delikatna sugestia swojego żydowskiego pochodzenia zostaje umieszczona przez autora dopiero w wersji książkowej „Dziennika”, przy okazji finalnych rozważań dotyczących nazwiska Tyrmand: „Istnieje ewentualność, że nazwisko to wymyślił i obdarzył nim mych przodków E.T.A. Hoffmann” – 2 kwietnia, D54, s. 358. W oryginale brak tego wtrętu – por. DO, s. 314).

(Jest też inne wielkie przemilczenie. To związane z wileńskim, paskudnym dość epizodem w biografii Tyrmanda: w czasie sowieckiej okupacji pisarz pracował w komunistycznej „Prawdzie Komsomolskiej” publikując serwilistyczne artykuły i redagując młodzieżowy dodatek. Na temat tego aktu nie wypowiedział się, ani w „Dzienniku”, ani też w „Filipie”, gdzie w skrótowej i groteskowej formie potraktował litewskie przygody bohatera. Dopiero w szkicu „Porachunki osobiste” wspomniał o kolaboracji, bagatelizując ją i usprawiedliwiając kamuflażem konspiratora).

Oczywiście szkoda, że Zimand nie mógł w roku 1981 porównać wersji oryginalnej z tą opublikowaną w książce. Ale przecież większą szkodą jest, że Tyrmand postanowił poprawić swój dziennik i kazał nam przez wiele lat obcować z dziełem zdeformowanym.

INGERENCJE

Konrad Niciński zestawiający na łamach „Pamiętnika Literackiego” obie wersje: oryginał zapisków i wydanie książkowe z roku 1980, pokazał, że zmiany dokonane przez Tyrmanda dotyczą paru płaszczyzn.

Po pierwsze, Tyrmand dążył do uczynienia ze swego diariusza czegoś w rodzaju powieści. Inspirowany najwyraźniej „Lolitą” Nabokova, zmodyfikował wątek swej młodej kochanki obniżając wiek Krystyny, nazwanej tu Bogną, do lat szesnastu, dodał drobiazgowy, dyktowany zachwytem detaliczny opis jej wyglądu – od stóp do głowy; od skóry, zapachu płci do dziecięcej wdzięczności emanującej w czasie zbliżenia (7 lutego, D54, s. 178), wzbogacił historię znajomości paroma epizodami, wplótł uwagi o zachłanności i pachnącej świeżości dziewczyny (15 stycznia, D54, s. 80), dopisał krótką, nasyconą erotyzmem dygresję o umazanych atramentem niezręcznych, a zarazem pełnych kobiecej wiedzy, palcach Bogny (20 stycznia, D54, s. 99). Do wątków seksualnych dodał Tyrmand parę rozbudowanych erotomańskich rozważań: o mistrzostwie w ars amandi czy o śmieszności moralnego nakazu czystości (D54, s. 239-241; D54, s. 335-336). Mocny jest w szczególności ten drugi fragment będący libertyńskim credo autora, który wyłącza sferę seksualną spod moralności, zarazem sankcjonując swoistą hipokryzję w tej materii:

„Spora część ludzkości, zwana oświeconą i poszukującą dogłębnych rozeznań, zawsze widziała śmieszność w moralnym nakazie czystości płciowej, w groźbie piekła za rozwiązłość obyczajów, w społecznej motywacji powściągliwości. O tym jednak, że normy te śmieszą, nie mówił nikt, prócz głupców. Ludzie mądrzy i dojrzali wiedzą, że nic tak nie wzbogaca życia jak umowność, zwłaszcza w sferze intymnej, przyćmionej, opornej jasnym stwierdzeniom”. A wcześniej: „zawsze wydawało mi się, że w sprawach łóżkowych, płciowych, chutliwych, swawolnych – jak ongiś precyzyjnie mówili Polacy – jest tylko jedna moralność: wrośnięta w podświadomość trwoga przed spowszednieniem miłosnego uścisku, gwałtowny protest zainteresowanych i kompetentnych części ciała przed nudą, rutyną, monotonią”.

Po wtóre, dodał parę portretów m.in. Wojtka Brzozowskiego, Jana Pawła Gawlika i kilku postaci epizodycznych. Zamieścił też kilka wyrazistych wspomnień, jak na przykład tę o willi na Frascati (8 marca, D54, s. 267-268).

Po trzecie, podkręcił nieco swe diagnozy polityczne, zmieniając na przykład zapisy dotyczące przewidywań związanych ze światową wojną, z tym że akurat z tymi dociekaniami Nicińskiego trudno się w pełni zgodzić. Tyrmand w roku 1954 wcale nie czeka na konflikt atomowy „z nieukrywaną radością", zaś jego postawa wobec komunizmu nie różni się aż tak drastycznie od tej zaprezentowanej w wersji książkowej.

Wreszcie, Tyrmand dość mocno podstylizował „Dziennik": zbrutalizował zapis, dążąc do zastąpienia eleganckiego stylu narracją nawiązującą do mowy potocznej.

„Podstawową cechą 'nowego' stylu Tyrmanda – pisze Niciński – jest daleko posunięta stylizacja na język mówiony, co więcej, jak najbardziej potoczny. W budowie zdań widać tendencje do skrajnego uproszczenia – wyeliminowana została większość przyimków, ograniczona ilość zdań podrzędnych, wiele zdań zostało przerobionych na równoważniki. (...) Tej samej tendencji służą też środki bodaj najbardziej zauważalne - zwiększające ekspresję emocjonalną (przede wszystkim bardzo kwieciste przesadnie i epitety, jak 'demon bezmyślności i egoizmu'), obfitość kolokwializmów i wulgaryzmów. Jakkolwiek byśmy się na takie zabiegi zapatrywali, nie da się ukryć, że nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie 'Dziennika 1954' bez nich."

No i oczywiście nie może sobie odmówić badacz przywołania wyrazistego przykładu owego ubogacenia, podelektujmy się i my:

„Kierczyńska, szara eminencja czerwonej literatury, na oko koszmarny zlepek wyschłych kości i brodawek, która w życiu wypełnionym walką o socjalizm i przy swej urodzie, kutasa widziała chyba tylko w atlasie anatomicznym, pouczyła nas, że zdrada małżeńska jest przeżytkiem kapitalizmu i zniknie w nowej erze". (21 stycznia) (KN, s. 77-78, D54, s. 108).

Warto jednak zauważyć, że tendencja do skrótowych szyderczych opisów fizjonomii bohaterów występowała już w oryginale, choć redagując je, Tyrmand dążył do większej brutalności.

(Konrad Niciński tak bardzo chce nas przekonać o głębokości zmian poczynionych przez Tyrmanda, że czasami mija się z prawdą. Wbrew temu co sugeruje, słynny pojedynek Tyrmanda z młodzieżą na prywatce u Krystyny/Bogny jest wyraziście przestawiony już w wersji oryginalnej, podobnie sugestia zepchnięcia ze schodów żony RC/LG istnieje już w rękopisie (DO, s. 108). Owszem, Tyrmand retuszował swój autoportret, dopisywał sceny, radykalnie redagował pewne partie tekstu, ale część zarzutów Nicińskiego nie jest przekonujących. Np. sprawa lęku przed tłumem (23 lutego), czy wybaczenie intryg Jerzemu Zarzyckiemu (18 marca). Także zapis spotkania komitetu blokowego i anegdota o greckim partyzancie wbrew twierdzeniom Nicińskiego zawierają dialogi).

KŁOPOT Z LEKTURĄ

Oczywiście dla ludzi wychowanych na książkowej wersji „Dziennika 1954" (po naszej warszawskiej polonistyce za karnawału „Solidarności" krążyła najpierw jego wersja londyńska z wydawnictwa Polonia, ale wkrótce, w stanie wojennym już każdy z nas miał małe wydanie z Wydawnictwa Krąg), dla ludzi więc, którzy zaczytywali się w poprawionej wersji zapisków Tyrmanda, trudno jest wyzerować pamięć, usunąć autokreacyjne zabiegi uskutecznione przez autora w latach siedemdziesiątych i zdobyć się na czystą lekturę oryginału.

Gdy zestawiłem obie wersje, uderzył mnie fakt, że Tyrmand nie tylko mścił się na swych wrogach podkręcając ich krytykę i przyczerniając portrety, czy też obarczając winami za grzechy jeszcze niepopełnione (zwracał na to uwagę rozżalony Olgierd Budrewicz, por. MU, s. 74), ale też bezwzględnie rugował z dziennika postać Czesława Miłosza, którego teoria Ketmana i zaczerpnięta z „Nienasycenia" Stanisława Ignacego Witkiewicza metafora pigułek Murti-Binga tak mocno inspirowały ówczesne dyskusje o postawach wobec stalinizmu. Przepisując dziennik, Tyrmand posuwa się do jawnych fałszerstw, byle tylko nie wymienić nazwiska Czesława Miłosza.

Zapis z oryginału: „[Jan Paweł Galik] Mówił dziś wiele o tym, że trzeba uprawiać ‘ketman’ – jest to termin z emigracyjnej publicystyki Czesława Miłosza, określający trudne i skomplikowane zjawisko zachowywania własnej czystości ideowej i moralnej przy jednoczesnym współdziałaniu z komunistycznym totalizmem” (DO, s. 168)

I po poprawkach: „[Jan Paweł Gawlik] Dziś mówił bez przerwy o ‘Ketmanie’ – jest to termin z Witkacego, obrabiany i nicowany przez publicystykę emigracyjną z kręgu paryskiej ‘Kultury’. Uprawiający ‘Ketmana’ jest swoistym marranem naszego czasu, przechowuje czystość moralną i wierność starej wierze służąc nowej, na dnie duszy gardząc nią i nienawidząc jej”. (D54, s. 159)

Więc już nie tylko Murti-Bing, ale i Ketman pochodził zdaniem poprawiającego swój dziennik Tyrmanda od Witkacego. O Miłoszu ani słowa. Jakie to małe!

(por. też zapisy z 21 lutego – „Zauważył to świetnie Miłosz” DO, s. 213, „Wielkość Witkacego” D54, s. 223 oraz z 3 marca – DO, s. 233 i D54, s. 252)

Wcale nie byłem przekonany, co do niektórych poprawek w wątkach erotycznych, na przykład bulwersujący, niemal ginekologiczny fragment o wzajemnym zaspokajaniu się palcami i ustami z czterdziestoletnią sąsiadką Nuną (w oryginale L.A.), po przepisaniu i upiększeniu, choć nadal drastyczny, ulega osłabieniu. A przecież połączenie obsceniczności sytuacji i jej brutalnego opisu czyniło z tej anegdoty rzecz wyjątkową. (25 lutego, DO, s. 222-223, D54, s. 234)

Owszem, redagując skrzący się od pikantnych anegdot dziennik, bywa rycerski, gdy wykreśla zdania o podwójnym życiu Stefana Kisielewskiego, choć zdania o dyskomforcie, jaki przeżywa Tyrmand przy kontaktach z kochanką swojego przyjaciela rzuciłyby ciekawe światło na zagmatwaną moralność diarysty, który przecież nie jest wierny Krystynie/Bognie i chętnie korzysta z erotycznych usług mężatek:

„Potem zaszedłem na kawę do ‘Galińskiego’. Czekała tam na mnie ‘boczna ulica’ S., która przywiozła mi pozdrowienia z Krakowa. Nie znoszę tych spotkań. Nie przepadam za tą panią, aczkolwiek jest miła i stara się być jeszcze milszą dla mnie wiedząc, że S. uważa mnie za bliskiego człowieka. Ale ja lubię bardzo żonę S., Lidię, jego dom, dzieci i czuję się zawsze nie à l'aise w zetknięciu z kobietą, którą on rzeczywiście kocha, a której istnienie mi nie dogadza. (…) S. twierdzi że kocha obydwie kobiety, że obie są mu potrzebne do życia i że jego celem jest jak najdłuższe utrzymanie obecnego status quo”. (13 stycznia, DO, s. 86)

Rzeczywiście, zupełnie niepotrzebnie jak na mój gust Tyrmand szlifuje, a czasem rozbudowuje swe notatki dotyczące stosunku do komunizmu. W liście do Zimanda bronił autentyczności tych dodatkowych wtrętów częstując go historyjką o istnieniu jakiegoś innego brulionu ponoć zalanego w czasie powodzi. Faktycznie, jakieś materiały mógł Tyrmand mieć poza skrupulatnymi notatkami dziennikowymi, ale jednak spore fragmenty jego rozważań o ustroju noszą znamiona późniejszych, odrobinę za daleko posuniętych ingerencji.

A przecież to, czego szukamy w „Dzienniku 1954” Tyrmanda to autentyzm, zapis chwili, dokument świadomości ówczesnej. Owszem, zachwyty nad architekturą kina „Moskwa”, mógł Tyrmand wyrzucić ze względów kompozycyjnych (w tym samym dniu, 4 lutego, podobnie opisuje zdewastowaną w ciągu kilku dni budzącą jego podziw kawiarnię na MDM-ie), ale już inna ingerencja, którą zarzuca mu we wstępie do wydania oryginału „Dzienników” Henryk Dasko, mianowicie wycięcie zdania o Leninie, było zabiegiem fałszującym wymowę notatek:

„Postać Lenina budziła we mnie zawsze sympatię w przeciwieństwie do osoby Stalina. (…) Lenin jest inteligentny ową inteligencją wzbudzająca przychylne zainteresowanie wbrew najróżniejszym różnicom ideowym. Analiza tekstów bynajmniej tego nie wskazuje, jednak wydaje mi się – choć nie wiem dobrze dlaczego – że Lenin byłby bardzo rozczarowany tym, co się w jego imię i wśród spuścizny po nim wyczynia.

Chociaż kto wie? Wszak nie kto inny jak Lenin ukuł formułę ‘Kto nie z nami, ten przeciw nam’, stanowiącą bazę najcięższej tyranii myśli, oraz nie kto inny jak on wyniósł kłamstwo i zakłamanie do rangi metody rządzenia społeczeństwem”. (21 stycznia, DO, s. 124)

Zastąpienie tego fragmentu rozważaniami o pośmiertnych losach wodza rewolucji jest jednak marnym ekwiwalentem oryginału:

„O ile jest życie pozagrobowe, to jaka jest aktualnie pozycja Lenina? Wszak nie kto inny, lecz Lenin wyraził się, ze ‘kto nie z nami, ten przeciw nam’. Jak on sobie z tym daje radę w niebie czy piekle? Jak wymierza mu się, co jego za zasługi czy grzechy? Był na pewno arcymistrzem kłamstwa i zakłamania, ustalił nową relację między jednym a drugim. Czy to go kreuje na ulubieńca Lucyfera, czy też w niebie panuje radość z okazji nawróconego grzesznika, bo z godnie z ułomnością chrześcijaństwa – zasłużył na większe honory niż ten, kto nigdy nie kłamał ani się nie zakłamywał?”. (D54, s. 106)

Podobnie wycięcie zdania „Marks był mądrym facetem” (16 stycznia, DO, s. 105) wcale nie służy „Dziennikowi”. Przecież doskonałe są właśnie te chwile zwątpienia, niepewności i dobrze, że Tyrmand zachował, choć znów niepotrzebnie modyfikując, ten zapis epifanii:

„Siedzę w kinie, oglądam kronikę filmową i naraz, w olśnieniu, dostrzegam, że komuniści robią w Polsce wspaniałe rzeczy! Przez ułamek sekundy pojmuję ich wielkość, ich ogrom, ich szlachetność, docieram do jądra przełomów i intencji wszystkich nawróconych na komunizm i mówię, krzyczę wprost do samego siebie: ‘A ty!?! Dlaczego się męczysz? Zgódź się, idź, pomóż, zgódź się natychmiast! Przecież widzisz, że pod pokrywą szlamu głupoty, za kolczastym drutem totalniackiego terroru błyskają rzeczy ogromne, szlachetne, wspaniałe! Awans człowieka rządzonego i upośledzonego do rangi współrządzącego i otrząsającego się z upośledzenia! Gigantyczne przeorywanie społeczeństw, mentalności i powierzchni całych części świata! To są rzeczy drogocenne, trzeba je dostrzec i wydobyć za wszelką cenę!...’ Wychodzę z kina złamany. Nie wiem już, czy mam słuszność i czego chcę. Nic nie wiem. Nie wiem nawet, czy marnuję

życie i dlaczego je marnuję, tracę wręcz pojęcie tego, co jest marnowaniem, a co nie. Nie czuję się nawet jak Melechow w ostatnim rozdziale 'Cichego Donu', nie mam świadomości swego wilczego odosobnienia". (DO, s. 215)

(Co do politycznych drobiazgów: choć w oryginale Dziennika znajdziemy passus o rabinach i ślusarzach, (DO, s. 219: „szczupłe grono ludzi z KC Partii, składające się w części z rabinów, a w części ze ślusarzy"), to nie natrafimy na obecne w zredagowanej wersji wyrażenie „koalicja talmudystów i pastuchów" (D54, s. 173), którym tak zachwycał się Zimand, sądząc że Tyrmand wyprzedzał Witolda Jedlickiego z jego podziałem Partii na frakcję chamów i żydów).

Cóż my, czytelnicy. Szukamy, szukaliśmy w „Dzienniku 1954" zapisu świadomości człowieka, który mówił „nie" komunizmowi, szukaliśmy dokumentalnego odbicia samopoczucia twórcy, który przez komunę zepchnięty został na margines życia i świadom swych marnowanych talentów, w tajemnych zapiskach brał odwet na wrogim świecie. Przygoda z „Dziennikiem 1954", choćby podrasowanym, pokazywała nam prawdę miłoszowskiej sentencji, iż „Spisane będą czyny i rozmowy".

Trafnie wieszczył Tyrmand w roku 1954: „Gdy wychodziłem z domu, olśniła mnie nagle myśl, że to, co piszę w tym dzienniku, może mieć wartość doniosłą i nieprzemijającą. Dotychczas uważałem to za bzdury przynoszące co najwyżej odprężenie psychiczne na prywatny użytek. Dziś zrozumiałem, że to może być ważne, doznałem – jak nigdy – uczucia, że to, jeśli zostanie, przetrwa, dotrze do prasy drukarskiej – zostawi po mnie ślad. Jasno też dojrzałem po raz pierwszy prawdziwego adresata tych kartek. Piszę ten dziennik dla ludzi, którzy przetrwają komunizm, piszę o komunizmie dla tych, którzy odczuli jego ciężar na grzbiecie i jego śmiertelny uchwyt na szyi. Tylko ci mogą mnie zrozumieć i tylko tym mogę pomóc w zrozumieniu tego, co sami przeszli. Tylko ci odnajdą korzyść z lektury mych myśli, grubych, nieporadnych, błądzących po omacku, lecz nieustępliwie" (12 lutego, DO, s. 194-195, por. D54, s. 194-195). Czytelnikom, wyłaniającym się z peerelowskiej rzeczywistości ku wolności, istotnie dawał na początku lat osiemdziesiątych prezent niesamowity.

Po pierwsze więc, zapis świadomości inteligenta polskiego z roku 1954, zapis przeczący zapewnieniom „ukąszonych przez Hegla”, że inaczej nie można było, że nie było sprawiedliwych w tej Sodomie, czasem nawet, że nikt nie wiedział.

Po wtóre, dla ludzi wkraczających w tragiczny a potem smętny czas stanu wojennego i gnijącej końcówki komunizmu, „Dziennik 1954” dawał bardzo mocne przesłanie. Kto wie, ilu młodych ludzi znalazło pokrzepienie w Tyrmandzie, gdy odmawiało wejścia na normalną ścieżkę awansu i roztopienia się w komunistycznych strukturach. Gdy godząc się na pozorną marginalizację, nie szło do oficjalnych mediów, nie podejmowało współpracy z reżimem.

Oczywiście, czas był inny, mało kto wierzył w doktrynę, ale co do mniemań o trwałości sytuacji opresji i zniewolenia, rzecz miała się podobnie. Aby nie zwątpić, trzeba było brać do ręki Tyrmanda, aby nie zwątpić, trzeba było rozmawiać z przyjaciółmi i wzajem się wspierać. Aby wytrzymać, trzeba też było w popkulturze i użyciu znajdować wytchnienie od nędzy i szarości codziennych dni.

(Może i dzisiaj „Dziennik 1954” mógłby być natchnieniem dla osób, które opierają się światu, które nie chcą realizować agendy postępu, które nie chcą skłonić się Duchowi Dziejów.

Opowieść Tyrmanda opierającego się z garstką przyjaciół – Stefanem Kisielewskim, Janem Józefem Szczepańskim, Zbigniewem Herbertem i Wojciechem Brzozowskim – walcowi postępu, którzy wbrew nadziei, wbrew woltom znajomych, wbrew dobrym radom życzliwych kolegów, trwają w swoim ‘nie’, krzepić może i teraz, pokazując, że prawda może trwać w małych wspólnotach, żywić się może wieczornymi rozmowami czy popijawami).

Na tle układnej zazwyczaj diarystyki polskiej „Dziennik 1954” przedstawiał zupełnie nowy poziom szczerości. Był zapisem walki o człowieka niezredukowanego do funkcji homo politicus, człowieka barwnego, wielowymiarowego, miłującego jazz, sport i taniec,

wrażliwego na modę i piękno kobiet, rozerotyzowanego, czasem poważnego i otwartego na wiarę, kiedy indziej szukającego rozrywki i lubieżnych pocieszeń. Kreując samego siebie na kartach brulionu Tyrmand pokazywał, czym jest praktyczny antykomunizm: różnorodnością, prawem do indywidualizmu, niezgodą na ujednolicenie.

Naprzeciw szarej rzeczywistości komunizmu lat pięćdziesiątych, kaptującego coraz to nowych zwolenników, Tyrmand, choć bufon i egotyk przechwalający się swoimi erotycznymi, niekiedy dość paskudnymi osiągnięciami, triumfujący (bardziej na papierze niż w życiu) nad reprezentantami ówczesnej elity kulturalnej oraz licealistami (gdy po mistrzowsku tańczył boogie-woogie), zaproponował książkę, w której dzień za dniem zwyciężał komunę. Niepewny ostatecznego rezultatu walki o świat, często mniemając, że w sowieckim ustroju przyjdzie mu żyć do końca swych dni, pisał dzieło, którego losów wydawniczych nie był w stanie przewidzieć. Stawał wobec opresyjnego systemu sam ze swoim otwartym zeszytem, możliwie jak najbardziej szczery, choć jednocześnie mocno upozowany, ale upozowany na własnych warunkach i dla własnej przyjemności. Stawał ze swoimi miłostkami, słabościami, codziennymi nawykami i celebrował samego siebie, uparcie mówiącego „nie" nadzorcom polskiej kultury. Rzeczywiście, w trakcie pisania Tyrmand traktował dziennik jak „list w butelce", który dryfować będzie przez ocean czasu i dotrze być może do niewiadomego odbiorcy w niewiadomych okolicznościach. (Szkoda trochę, że nie mógł się oprzeć pokusie i wydłubał potem z butelki ten list, naniósł poprawki i zakorkował z powrotem).

Ciekawe, jak pokolenie JP2 radziło sobie z obscenicznością Tyrmandowych zapisków. Może nie braliśmy ich tak bardzo serio, może te erotomańskie wywnętrzenia traktowaliśmy jako literaturę, grę, a nie zapis rzeczywistości. Może antykomunizm autora usprawiedliwiał w naszych oczach te jego ekscesy. Trudno to odtworzyć. Filozofia Tyrmanda, mogąca spotkać się z aprobatą każdego seksualnego drapieżnika, brana była chyba w nawias, rozbrajająco szczery pisarz traktowany był jak erotoman gawędziarz i jego przygody nie zyskiwały należytego ciężaru. Ot, figlarz. Tu wspomaga aborcję zapłodnionej przez kolegę prowincjuszki, tu uwodzi mężatkę z dzieckiem…

(„Dziennik 1954” pobił na głowę mizdrzącego się w „Kalendarzu i klepsydrze” Konwickiego i z pewnością trochę go dotknął. Ten zaś, nie wiedząc o istnieniu oryginału, zarzucał Tyrmandowi, że są to spisane po latach wspomnienia, a w dodatku że ten zerżnął z jego łże-dziennika pomysł rozpoczęcia zapisków od zwrócenia się do Boga.)

CIĄG DALSZY

Na pewno „Dziennik 1954” jest najlepszym dziełem tego pisarza. Nie dziwi wyznanie Romana Zimanda, że żałuje, iż Tyrmand zarzucił codzienne notowanie i poświęcił się karierze literackiej. („Jako czytelnik uważam, że lepiej byłoby, gdyby Tyrmand kontynuował pisanie ‘Dziennika’ kosztem pisania ‘Złego’ czy ‘Filipa’. Pogląd to prywatny, elitarystyczny, absurdalny, bo oparty na założeniu ‘co by było gdyby’…” – RZ, s. 28).

Kłopot w tym, że w „Życiu towarzyskim i uczuciowym”, powieści z życia sfer dziennikarsko-artystycznych, pisanej w Polsce w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych, odrzuconej przez PIW, a wydanej dopiero w Paryżu, dał Tyrmand próbkę, czym byłyby jego dzienniki, gdyby rzecz kontynuował. Pokazał, jak bardzo opary resentymentu zatruwałyby jego zapiski, jak jego znane pretensje narosłyby jeszcze bardziej i psuły narrację. Żal do całego świata, jakim jest przesiąknięta powieść, przekracza o wielokroć nasycenie, jakie spotykaliśmy w „Dzienniku 1954”, a gorycz porażki kazi wszystko.

Nic zresztą dziwnego: oto Tyrmand, niezłomny w czasach stalinowskich został niezwykle chytrze ograny przez rywali. Ten, któremu należał się laur za trwanie przy prawdzie, także w latach popaździernikowych okazał się osobnikiem niewygodnym. Udało mu się wydać „Złego”, odnieść wielki, czytelniczy i komercyjny sukces, udało się wydać poważniejszego trochę „Filipa”, ale nie zyskał akceptacji gomułkowskich macherów od kultury. A ex-stalinowcy? Ze swojego zaangażowania i wsparcia zbrodniczego systemu uczynili element szlachetnego prometejskiego zaangażowania. Swe biografie przedstawiali jako element historycznej konieczności. A Tyrmand wciąż uwierał.

Bohaterowi powieści, Mikołajowi Plankowi, będącemu w niektórych aspektach autorskim alter ego, znajomy tłumaczy ciągłą nienawiść decydentów: „Ponieważ pani Stoll błądziła, kiedyś ty nie błądził, więc przejawiła głębokie człowieczeństwo. To jej pozwala gnoić cię w świętym przeświadczeniu o własnej słuszności. Wiesz za co? Za nieludzkość. Chciałeś być uczciwy, więc nie jesteś człowiekiem. Tego się nie wybacza, pod obcasy takiego skurwysyna, co śmiał być lepszy… Cała chwała dla byłych kanalii i byłych głupców, tak już jest od czasu, gdy Chrystus wynalazł spowiedź i rozgrzeszenie. Więcej radości w niebie z nawróconego grzesznika i tak dalej. Tfu, rzygać się chce…" (ŻT, s. 319).

No tak, bo przecież i obsada stanowisk, i – jakbyśmy powiedzieli dzisiaj – dystrybucja prestiżu pozostały te same: „Po niejakim czasie okazało się, że o wydawaniu jego książek decydować będzie jednak pani Stoll, dla której przez długie lata był tylko żałośnie pocieszną postacią bez prawa przekroczenia progu jej gabinetu, o produkcji jego filmów wyrokować będzie Larbiński, zasiadający w miarodajnych komisjach. O jego wydanych już książkach pisywać będą w prasie Ewelina Karp, a co gorsze, były sekretarz redakcji 'Wieczoru Warszawy' o rybim spojrzeniu, obecnie ceniony krytyk literacki ogarnięty szałem formułowania codziennie nowych, lecz zawsze zgodnych z chwilowymi postulatami władców kryteriów wartości; z kolei filmy jego oceniać będzie redaktor Nowara, coraz pewniejszy swych kwalifikacji znawcy, mimo przebytych wstrząsów. Nikt z tych ludzi nie żywił, z natury rzeczy, uznania dla Mikołaja; przez długie lata firmowali i wychwalali wszelką nad nim przemoc, którą dziś potępiali w łzawym przeświadczeniu, że przemoc ta zmuszała ich do egzekwowania na Mikołaju wszelkiego zła, czyli roztkliwiali się nad sobą, a nie nad swoją ofiarą. Stąd był już tylko krok do lamentu nad sobą jako nad kimś oszukanym i zdradzonym, a nade wszystko bez winy. –'Użalcie się nad nami, biednymi zbirami…' – uśmiechnął się Mikołaj do Andrzeja. – To nie są moje słowa, lecz pewnego rosyjskiego dramaturga. Mój Andrzeju… – dodał pojednawczo – …kiedy przypomnieć im pisane przez nich zdania, wtedy krzyczą, że cierpieli, przeżywali, parali się z losem człowieka. Nazywają to tragedią komunistów. Twierdzą, że przeszli przez piekło. Wiemy jednak, że piekło to inkrustowane było wszelakim dobrem doczesnym, a także najważniejszym z tych dóbr – poczuciem niezmarnowanego życia. Dziś swe sukcesy w zaprzeczaniu swym dawnym okrzykom nazywają dojrzałością; pogardę dla własnych

słów, którymi kiedyś zdolni byli zabijać, zwą rozkwitem myśli bądź sumienia. W jednym nie ustają: w sprawnym ciągnięciu zysków i profitów z nowego kneblowania nam ust. Naszych ust, których się ciągle boją". (ŻT, s. 323)

Nic dziwnego, że Mikołaj decyduje się na protest:

„Potępiam wasze życie łajdackie, dziś jeszcze w glorii waszych spokojnych sumień i ustalonych zaszczytów. Siedzicie przy zastawionych stołach, utyci i zmęczeni sukcesami, o których automatyce wzbraniacie się słuchać, chluby społeczeństwa, utalentowani twórcy z bruzdami znużonej goryczy wokół ust, albowiem kiedyś nie udało wam się zdobyć zwiększonego nakładu, lepszego samochodu lub dokucza wam zmaltretowana bankietami wątroba. Niebawem umrzecie, a w gazetach ociekać będzie od nieszczerych pochwał dla waszych urojonych geniuszów, zasług, dokonań. Będzie pisać się zupełnie na odwrót, niż o was mówiono i szeptano po kawiarniach, a także inaczej, niż sami o sobie mniemacie, czarne nazwane tam będzie białym, a cuchnące wonnym. Tylko ja jeden, prócz was samych, wiem, jaki gnój był elementem gmachu powodzenia, który wznosiliście przez całe życie, ja jeden wiem, że triumf wasz ulepiony został z łajna tchórzostwa i nikczemności!" (ŻT, s. 427)

Pisze więc nasz bohater przy stoliku „U Literatów" gniewne słowa, ale w końcu drze serwetkę z oskarżycielskim listem. Pozostaje mu więc dziwna sentymentalna zemsta na swym rywalu i uwiedzenie jego żony, a samemu Tyrmandowi, składającemu powieść z wielu anegdot i insynuacji o swych znajomych i prześladowcach, pozostaje oręż ten sam, co w „Dzienniku": szydercze opisy ich fizjonomii, zagłębianie się w małe duszyczki swych oponentów, pokazywanie nędzy ich aspiracji. Chociaż nie. Owe aspiracje i ambicje to coś, co akurat łączy Tyrmanda z negatywnymi bohaterami opowieści. Tyrmand jest bowiem w tej powieści zarówno prześladowanym Mikołajem Plankiem, jak i w drobnej części Andrzejem Felakiem, eleganckim karierowiczem skrojonym na popaździernikowe czasy. Czujemy, że marzenie o dostatnim życiu, godziwym wynagradzaniu twórczości, zagranicznych podróżach, splendorach, markowych ubraniach, pachnących kobietach niezaniedbujących żadnego elementu garderoby i o nowiutkich

samochodach to także świat obsesyjnych marzeń samego autora. Tyrmand jako gość nie dopuszczony do stołu, z tym większym apetytem opowiada o niedostępnych apanażach.

Śmiejemy się czasami, czytając powieść i przypominamy sobie Tyrmanda – szyderczego fizjonomistę z „Dziennika 1954", gdy w „Życiu towarzyskim…" pisze o napotykanym redaktorze: „uśmiech skracał mu czoło i nasuwał wybrylantynowane różowo blond owłosienie na krótki, zadarty nos o ziejących ku górze dziurach, odsłaniając jednocześnie rzadkie, mocne zęby; przynależność tego człowieka do nierogacizny nie ulegała wtedy wątpliwości, ale do nierogacizny pokazowo odżywionej, premiowanej na wystawach hodowlanych, o czym świadczyły sygnety na grubych palcach i wyszukana bielizna" (ŻT, s. 84).

Znajdujemy klasyczne zdania, gdy opisując przesłuchanie na UB rzuca nagle: „miał zaczerwienione obwódki oczu w małomiasteczkowej twarzy krzepkiego potomka handlarzy końmi z Wołynia, a może ambitnego parobka, który chciał zostać księdzem lub nauczycielem". (ŻT, s. 160). Albo gdy pisze o gospodyni pewnej dziwnej bibki: „miała piękną, łagodną twarz sklepikarskich madonn i krzywe nogi pod lekko baryłkowatym korpusem" (ŻT, s. 221). Tyrmand nie przepuszcza nawet marszałkowi Tito, który pod jego piórem jawi się jako „zażywny heros jugosłowiańskich partyzantów o urodzie operowego młynarza" (ŻT, s. 182).

Ale literackie smaczki nie dotyczą tylko takich drobiażdżków: Tyrmand w drugiej części powieści zatytułowanej „Sceny z życia prywatnego i publicznego" drobiazgowo rekonstruuje, poczynając od 1946 roku, losy swego bohatera, Andrzeja Felaka, arywisty, który próbuje zostać eleganckim dziennikarzem, opływającym w dostatek, rozsiewającym aromat intelektualnej niezależności i odwagi, a zarazem cieszącym się poparciem władz i szacunkiem salonu. Tło, jakie kreśli Tyrmand pokazując wspinanie się Felaka po kolejnych szczeblach dziennikarskiej kariery: dźwigającą się z ruin Warszawa, przemiany polityczne, obyczajowe, zmienne mody – to wszystko rejestruje dla nas, zabierając też do „Hybryd", na jazzowe jamy, zapraszając na przejażdżkę po Warszawie lat sześćdziesiątych, czyniąc ze swej powieści kompendium niezbędne do odtworzenia klimatu minionych dekad.

A poza tym naprawdę świetne to studium odnajdywania się umiarkowanego konformisty w powojennej Polsce. Sugestywnie wychwytywana zmiana klimatu, znaczona rocznymi datami. Od ostrożnej euforii w powojennej rzeczywistości, po utratę złudzeń, aż do przykręcania śruby i konieczności opowiedzenia się. Od małych kłamstw, przemilczeń, możliwości migania się od jednoznaczności aż po konieczność pro-stalinowskiej deklaracji.

A przy tym, zwijając się z zawistnej zazdrości wobec konkurentów, Tyrmand wchodzi w ich dusze, odtwarzając salonowe i gabinetowe strategie, rejestrując ciągle naprężoną niespokojną świadomość karierowicza, odbierając świat jako arenę bezustannej walki o wpływy, przewagi i apanaże. Bywa to żmudne, zamulające, w końcu problemy zwolnienia z cła czy uniknięcia kary za niepłacenie czynszu nie są specjalnie elektryzujące, według mnie jednak wysiłek czytelniczy nagradzany jest unikatową wiedzą o mechanizmach rządzących życiem towarzyskim i uczuciowym.

Powieść jest rzeczywiście zakalcowata, zamulająca, męcząca i nie dziwi opór Giedroycia, który nalegał na mocne skróty i zmiany (por. Dariusz Pachocki, Sztuka dyplomacji, DP). Jednak choć przesiąknięta resentymentem, pokraczna, umożliwia wgląd w małe peerelowskie duszyczki.

Świetnie wychwycił to Witold Gombrowicz broniąc Tyrmanda przed lekceważącym tonem, jakim jego powieść przyjęła emigracja: „‘Życie towarzyskie i uczuciowe’, choć jest poniekąd satyrą i analizą wyszczerbionego tenora lirycznego, wprowadza przecież w rzeczywistość… w pewną rzeczywistość specyficzną, polską… i staje się niezwykłe, wyjątkowo, charakterystyczne. Dlaczego? Wskutek czego nawet pewne słabości stają się tutaj siłą? Ależ dlatego, że tu czyta się jednocześnie i książkę i jej autora, autor jest ‘stamtąd’, jest stworzony przez to, co opisuje, związany ze swoim opisem niewidzialną pępowiną jest wciąż synem tego, czego się wypiera – choć się oderwał, choć zwalcza”. (WG1, s. 94)

ŻAL ZIMANDA

Czy rzeczywiście powinniśmy żałować, że Tyrmand zarzucił pisanie „Dziennika” i wziął się za pisanie „Złego”? Przecież bez sukcesu tej ballady o Warszawie gnębionej przez chuliganów i bez „Filipa” Tyrmand byłby jeszcze bardziej zgorzkniałym, tryskającym żółcią facetem. W ogóle jego resentyment, który dyktuje mu strony „Życia towarzyskiego i uczuciowego” jest czymś niewytłumaczalnym, a w każdym razie trudnym do zrozumienia. Związany małżeńskim węzłem z Barbarą Hoff, tworzyli parę, będącą znakiem zwycięstwa nad szarą gomułkowską rzeczywistością! Trudno pojąć, dlaczego swe podlane żółcią oko kierował na tych marnych redaktorów, na tych tyrających piórem oszustów strojących się w szatki Europejczyków. Dlaczego tak strasznie mu zawadzali, jakby byli dla niego realną konkurencją. On zwyciężał swą autokreacją, a związek z Barbarą Hoff, potwierdzał, że ta autokreacja jest czymś wybornym, unikatowym, pięknym.

A i „Złym” odegrał się na nich wszystkich.

Skroił swą opowieść jako bajkę, rzecz infantylną, lecz trzymającą w napięciu, pokazał jak można modelować rzeczywistość, by brudną, pełną ruin Warszawę przedstawić jako romantyczne tło do kryminalnej intrygi, by z krytykowanego w „Dzienniku” dyskomfortu i trudu życia w powojennej Polsce uczynić walor i rzecz do adoracji.

Jest więc w stanie Tyrmand nie tylko wygłosić pean na cześć wiosny w Warszawie, która zostawia w tyle te wiedeńskie czy paryskie: „Gdzież jest na świecie miasto, w którym pachnący świeży wiatr od rzeki, tyle w sobie niesie dziwnej melancholii, uciskającej duszę w pełne złota poranki widoczne w prostokątach wiosennych, błękitnych okien? Gdzież jest na świecie miasto, w którym rozedrgane zmierzchy uliczne przepojone są tą trudną i nigdy niewyjaśnioną tęsknotą za niewiadomym, za nigdy niezniszczonym, za czymś, o czym nic nie wiemy, czego bardzo pragniemy i czego nigdy nie dostaniemy ani nie osiągniemy w naszym pojedynczym, własnym życiu” (Z, s. 161).

Potrafi nawet podzielić się ironicznym, lecz ciepłym westchnieniem na cześć zatłoczonych autobusów, tramwajów i trolejbusów. „Ileż wspaniałych wartości dostrzegamy naraz w życiu, gdy uda nam się

wepchnąć jako ostatni do rozchodzącego się w szwach autobusu, gdy przygodny sąsiad, wisząc na stopniu, odstąpi nam trzy centymetry kwadratowe miejsca, akurat tyle, by postawić na nich szpic buta, gdy złapany rozpaczliwie za krawat ten, który już do połowy tkwi w środku, uśmiechnie się bez pretensji i przygarnie nas mocnym ramieniem, gdy wreszcie starsza pani, której prąc ku wyjściu, strąciliśmy kapelusz, porwali w strzępy gazety i wgnietli całą zawartość siatki z masłem, jajami i marmoladą w biust, uśmiechnie się z tramwajową melancholią i powie smutne, lecz przebaczające: – Nie szkodzi… – Wtedy widzimy, jak dalece potrafimy być solidarni, wyrozumiali, ludzcy i coś ciepłego rozpływa się nam jak słodka, rozgrzana czekolada koło serca”.

Tu ta cecha Tyrmanda, ubarwiania rzeczywistości, która tak złościła Kisiela, gdy ten czytał mu dziennikowy zapis przesłuchania na UB, ujawnia się w całej krasie.

A że w „Złym” Tyrmand wykorzystał cały zestaw literatury popularnej: poczynając od kreowania charakterystycznych przerysowanych wyrazistych bohaterów, po umiejętnie prowadzone wątki romansowe, dozowanie erotyki, budowanie napięcia, dawkowanie tajemniczości, nasycanie powieści odniesieniami do literatury popularnej i ballad podwórkowych, legend miejskich i plotek, przez naiwne, romantyczne, oderwane od polityki i niemające wiele wspólnego z realnością kreacje różnych instytucji takich jak komendy milicji czy redakcje czasopism – to wszystko przyniosło Tyrmandowi czytelniczy sukces i zapewniło sławę i uznanie.

Ballada o Warszawie zaludnionej przez dziwaczne postaci o nie mniej dziwacznych nazwiskach, idealnie odgrywające role przydzielane przez literaturę popularną – tajemniczego Niezwyciężonego Herosa, Demona Zła, Kobiety Fatalnej, Kobiety Anioła, ujmowanej w baśniowej konwencji (por. JP), Warszawie, w której brak komunistycznego syfu, stała się kapitalną odpowiedzią Tyrmanda na socrealistyczną szarzyznę.

Kłamstwu komunistów przeciwstawiał własne zmyślenie. Porzucił autobiografizm i cały oddał się kiczowatemu bóstwu kultury popularnej. Stąd zasłużone zachwyty Gombrowicza, entuzjastycznie witającego

Tyrmanda z jego predylekcją do tandety oraz kiczu, i pean, o jakim mógłby marzyć każdy pisarz, ujawniający wspólne fascynacje pisarzy:

„Tyrmand! Talent! To jak warszawska bosa dziwka w oczach wyrostka, jak tłusta warszawska kuchta w oczach uczniaka, jak k… pijana w oczach ulicznika! Brud i taniocha – a pożądane i zachwycające! Jakiś sex-appeal ma ta saga, na 300 procent warszawski, ten sam co niegdyś czaił się w bramach kamienic na Hożej, czy Żelaznej – ale wówczas tylko się czaił – teraz wybuchnął!

(…)

Tyrmand jest najdoskonalszą kontynuacją naszej romantycznej poezji, on przejął jej pióropusz, on pisze jej ciąg dalszy, ale już na miarę nowej historii: proletariackiej. To jest zniżone do poziomu łobuza alfonsa, grandziarza itd., ale duch ten sam (…)

Opowieść rzecz jasna skłamana od a do zet – dla przyjemności czytelnika i dla przyjemności autora. (…) Czy wiecie, co to jest, ta książka? To po prostu wódka!” (WG, s. 106)

Zachwycała się „Złym” także Maria Dąbrowska, choć nie docierała tak głęboko w diagnozie talentu Tyrmanda:

„do trzeciej w nocy czytałam ‘Złego’ Tyrmanda. Wszyscy się z tego naśmiewają, a ja uważam to za ważną książkę 10-lecia. Może równie ważna, jak w swoim czasie ‘Dzieje grzechu’ Żeromskiego; niższa klasa artyzmu, ale tak samo szmirowato-melodramatyczna; lecz rzeczywistość jest szmirowata i to powinno znaleźć swój ekwiwalent w literaturze. Pisane, mimo pewnych dłużyzn, z takim talentem, że w miarę czytania robiło mi się słabo i dostawałam bicia serca. Czułam, że sobie szkodzę, a jednak czytałam”. (zapis z 3 lutego 1956, MD, s. 244)

Ale Tyrmand wciąż czuł się niespełniony. Dlatego pewnie zabrał się za „Filipa” – opowieści o swoich perypetiach w czasie drugiej wojny światowej. Gdybając można powiedzieć, że gdyby Tyrmand powiedział

prawdę o swym żydowskim pochodzeniu, zamknąłby usta krytykom traktującym powieść jako mało poważną. Bo oto poznalibyśmy historię człowieka, który przez rasistów skazany na śmierć, tej śmierci wymyka się, tworząc sobie świat sensualnych przyjemności i małej zemsty na wrogu, choćby tylko ograniczonej do plucia mu w kawę.

Bez żydowskiego tła „Filipa" czyta się jako ucieszną opowieść bawidamka i cwaniaczka, który z kaprysu wybrał się na roboty do Niemiec i tam całkiem nieźle radzi sobie, podkradając jedzenie i alkohol z hotelowej restauracji i posuwając coraz to inne kobiety, by wreszcie zakochać się w niemieckiej dzierlatce i przeżywać schizofreniczne poruszenia erotomana marzącego o nietkniętej, wiernej dziewicy. Otrzymujemy pozbawioną prawie martyrologii, lekką, łotrzykowską opowiastkę, kwestionującą heroiczną narrację o okupacji. Opowiastkę niemoralną, miejscami wręcz obleśną: Don Juan, Filip, w kwestiach zaspakajania swej chuci nie wie, co to przyjacielska lojalność, uczciwość czy odpowiedzialność.

Owszem, obłudnie żali się na brak powodzenia u kobiet, ale przecież to takie mruganie okiem do czytelnika. Sam autor zapracował na zupełnie inną opinię, wiec poniższy monolog można między bajki włożyć:

„należysz do tych, którym każda zdobycz przychodzi z niebywałym trudem, którym dziewczęta, nawet najbardziej chętne, nie przychodzą na randki, gdyż właśnie wpadają pod samochód po drodze, którym wybucha pożar w domu naprzeciwko akurat wtedy, gdy dziewczyna sama zaczyna rozpinać bluzkę, którym sąsiadka-staruszka dostaje za cienka ścianą ataku wątroby właśnie w chwili, kiedy z trudem sprowadzona, po przezwyciężeniu tysiąca oporów i przeciwności losu, dziewczyna siedzi nareszcie na twoim tapczanie. Oho, masz gorzką świadomość tego, że nie należysz do mężczyzn, którzy, przebywając w hotelu, zastają całe piętro zajęte przez żeńską drużynę gimnastyczną, wypoczętą i bardzo wynudzoną, natomiast możesz być pewny, ze ledwie wejdziesz na to piętro, dziewczęta zabiorą się do wyprowadzki po to, aby zwolnić pokoje dla zrzeszenia emerytowanych buchalterów. Nie należysz też do tych, którzy wchodząc do pociągu, na trasie obfitujących w tunele, od razu trafiają na przedział, w którym siedzi samiutka jak palec blondynka; a jeśli ci się nawet raz coś takiego przydarzy, to wchodząc do tego przedziału, możesz być pewny, że na

cztery sekundy przed odejściem pociągu zjawi się tu jej mąż, narzeczony lub przynajmniej ciotka, zaś w najlepszym wypadku wtarabani się obca rodzina z trojgiem chorych na koklusz dzieci”… Co za lament, prawda? Jakie nieszczęścia!

Są w „Filipie” fragmenty poruszające, jak na przykład na pozór żartobliwa rozmowa z kolegą kelnerem, Niemcem, pracującym razem z Filipem w „Park-Hotelu”:

„nienawidzę cię za to, że przychodzicie do nas i siłą, przemocą, gwałtem narzucacie nam siebie, popełniacie zbrodnie, przeciw którym nie pozwalacie protestować i mordujecie tych, którzy się przed tym wszystkim bronią. (…) Za to, że jesteście sobą, tylko sobą. Za to, że zawsze będziesz myśleć, że macie rację, i takie myślenie zawsze będzie prowadzić do zbrodni, o której będziecie przekonani, że wcale nie jest zbrodnia, lecz czymś dobrym, pożytecznym, sprawiedliwym. Nie jestem żadnym szowinistą ani przesadnym patriota i słabo mi się robi na myśl o zabijaniu ludzi, ale wiem dobrze, że do takich, którzy tak myślą i postępują, mógłbym strzelać z bliskiej odległości”. (F, s. 108-109)

Są sceny dające do myślenia, jak nagła komitywa z niemieckimi podoficerami na przepustce, z którymi po kumpelsku rozmawia sobie o jazzie i kobietach.

W sumie jednak rację miał Andrzej Kijowski, studząc zachwyty Kisiela, który na łamach „Twórczości” uznawał „Filipa” za powieść wybitną, porównywalną z prozą Hemingwaya. Trudno nie podziwiać polemicznego sztychu Kijowskiego, który określił Tyrmanda mianem Balzaka dla gówniarzy.

„Bohater Tyrmanda ma duszę – pisał krytyk – tyle że jest to infantylna dusza żygolaka. Bohater Tyrmanda ma bogate życie wewnętrzne, tylko materią tego życia jest owo wielkie g…, w którym tkwi. Tyrmand stawia przed swym bohaterem problemy do rozstrzygnięcia, tyle że są to problemy gówniarskie”. (AK)

I przecież aby napisać takie słowa Kijowski nie musiał wcale być jakoś specjalnie „inspirowany” – jak chce Marcel Woźniak w swej monografii – przez przeciwnika twórczości Tyrmanda, Jarosława Iwaszkiewicza. Sam smak literacki mógł podyktować te zdania. Choć recenzja ta niefortunnie współgrała z klimatem, jaki establishment roztaczał wokół Tyrmanda, wierzę, że była wynikiem uczciwego oglądu dzieła.

Zapisał Jan Józef Szczepański w swych „Dziennikach” pod datą 6 maja 1962 roku – „Spotkałem Tyrmanda. Po recenzji Kijowskiego uważa się za ofiarę prześladowań. Nie przychodzi mu na myśl, że napisał złą książkę”. (JJS, s. 607)

(Owszem, gdyby dociążyć „Filipa” wątkiem Holokaustu, można by wyczytać z niego więcej niż chciał i zdołał zapisać Tyrmand. Ale taka bardzo mocno zideologizowana strategia lektury, którą zaproponowała Inga Iwasiów (II), niszczy autonomiczność utworu literackiego, traktując go nie tyle jak dzieło sztuki, co historyczne świadectwo. Oczywiście możemy domniemywać, co Tyrmand ukrywający się w samym oku cyklonu mógł przeżywać, co mógł myśleć o losie swoich krewnych, ile kosztowało go przemilczanie rzeczy istotnych, jak widział siebie w wojennej rzeczywistości, ale będzie to już rzecz mocno odległa od samego „Filipa”).

***

Sporo jest prawdy w stwierdzeniu Lidii Burskiej, która otwierając swój tekst o Tyrmandzie pisała, że „Największym osiągnięciem artystycznym Leopolda Tyrmanda jest Leopold Tyrmand – zjawisko, legenda, mistyfikator i mitotwórca, którego postać bardziej niż dzieło przyciąga uwagę czytelników.” (LB, s. 179).

Ale przecież trudno nie uznać jego „Dziennika 1954” za dzieło wybitne. Oświetlał „Hańbę domową” Trznadla, wchodził wespół z „Życiem towarzyskim i uczuciowym” w ostry spór z salonem i ex-stalinowcami, którzy nadawali ton kulturze peerelu. Ulepszony, lecz jednocześnie przez to skażony poprawkami poczynionymi w latach

siedemdziesiątych, był książką, którą stawialiśmy na półce z literaturą wychowującą do Niepodległości. Głos Tyrmanda wybijający się ponad mętne żale z „Miazgi” i „Małej Apokalipsy” wpuszczał świeże powietrze do rozważań o politycznych zaangażowaniach i przymusach naszych twórców, przynosił nadzieję, bawił i mamił wizją życia wolnego człowieka w opresyjnym systemie. W latach osiemdziesiątych był ostrzeżeniem i źródłem otuchy.

Andrzej Horubała

Foto: Wojciech Plewinski / Forum

Teksty Andrzeja Horubały publikowane w serii „Wielcy pisarze PRL-u”, są elementem projektu realizowanego dzięki stypendium Fundacji Trzy Trąby oraz Jolanty i Mirosława Gruszków, pomysłodawców stypendium i darczyńców Fundacji Świętego Mikołaja.

AK – Andrzej Kijowski, Wielki pisarz. Dla kogo?, Twórczość 1962:4

DO – Leopold Tyrmand, Dziennik 1954. Wersja oryginalna, wstęp i opracowanie Henryk Dasko, Wydawnictwo TenTen, Warszawa 1995

D54 – Leopold Tyrmand, Dziennik 1954, Wydawnictwo MG, Kraków 2021

DP – Dariusz Pachocki, Sztuka dyplomacji. Giedroyc i Tyrmand spierają się o „Życie towarzyskie i uczuciowe” (w) Litteraria Copernicana 4(36) 2020

F – Leopold Tyrmand, Filip, Wydawnictwo MG, Kraków 2012

II – Inga Iwasiów, Opowieść i milczenie. O prozie Leopolda Tyrmanda, Wydawnictwo Uniwersytetu Szczecińskiego, Szczecin 2000

JJS – Jan Józef Szczepański, Dziennik, tom II, 1957-1963, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2011

JP – Jolanta Pasterska, Świat według Tyrmanda. Przewodnik po utworach fabularnych, Wydawnictwo Oświatowe Fosze, Rzeszów 2000

KN – Konrad Niciński, Dwie wersje „Dziennika 1954" Leopolda Tyrmanda. Wokół problemu tożsamości tekstu, Pamiętnik Literacki XCVII, 2006, z. 4

LB – Lidia Burska Tyrmand (w) Sporne postaci polskiej literatury współczesnej. Kontynuacje, Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa 1996

MD – Maria Dąbrowska, Dzienniki, tom 4, Czytelnik, Warszawa 1988

MU – Mariusz Urbanek, Zły Tyrmand, Iskry 2019

MW – Marcel Woźniak, W klinczu ze światem. O twórczości Leopolda Tyrmanda, Biblioteka Krytyki Literackiej Kwartalnika Nowy Napis, Instytut Literatury, Kraków 2022

RZ – Roman Zimand, Wojna i spokój. Szkice trzecie, Polonia, Londyn 1984

WG – Witold Gombrowicz, Dziennik 1957-1961, Wydawnictwo Literackie, Kraków-Wrocław 1986

WG1 – Witold Gombrowicz, Dziennik 1967-1969, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1992

Z – Leopold Tyrmand, Zły, Wydawnictwo MG, Kraków 2011

ŻT – Leopold Tyrmand, Życie towarzyskie i uczuciowe, Wydawnictwo MG, Kraków 2016